

Remigiusz Matyjas

Wrzesień 1939 r. we wspomnieniach nauczycieli

Niepodległość i Pamięć 16/2 (30), 285-295

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Remigiusz Matyjas

Zaborów

Wrzesień 1939 r. we wspomnieniach nauczycieli

Przedstawione niżej wspomnienia o Wrześniu 1939 r. łączy to, że ich autorami są nauczyciele, uściślając zaś: nauczyciele związani z ziemią grójecką.

Antoni Wielgus pochodził zapewne z Warszawy. W 1930 r. ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie w Mogielnicy Grójeckiej. Szkoła ta, działająca w latach 1919-1932, posiadała wielu dobrych pedagogów, żeby wymienić choćby polonistę Sylweryusza Treugutta, ojca Stefana Treugutta (1925-1991), historyka literatury polskiej i krytyka teatralnego¹. Wychowankowie, wywodzący się głównie z biednych i średniozamożnych rodzin, zasilali kadrę nauczycielską powiatu grójeckiego i innych regionów. W 1931 r. Wielgus pracował jako nauczyciel w Płocku. Służbę wojskową odbył w Baonie Podchorążych Rezerwy Piechoty w Cieszynie. Po wojsku, aż do wybuchu wojny, niósł „kaganek oświaty” w powiecie wieluńskim – we wsi Kowale koło Praszki nad Prosną, czyli w pobliżu granicy polsko-niemieckiej. Jego dalsze losy, nie licząc epizodu wojennego, są słabo znane. Wiadomo, że mieszkał w Warszawie przy ul. Odolańskiej.

Autor wspomnień A. Wielgus należał do grupy wychowanków Seminarium w Mogielnicy, która po II wojnie światowej uczestniczyła w spotkaniach koleżeńskich, zainicjowanych przez Feliksa Skawińskiego. Odwiedzano m.in. prof. Sylweryusza Treugutta, mieszkającego w Warszawie przy al. 3 Maja. Na jednym ze spotkań prof. Treugutt rzucił hasło zorganizowania oficjalnego Zjazdu Wychowanków (podczas I Zjazdu w roku 1930 przyjęto wnioski o nadaniu szkole imienia pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej – Gabriela Narutowicza). II Zjazd Wychowanków odbył się w 1968 r. w Warszawie. W czasie III Zjazdu, zorganizowanego w 1972 r. w Mogielnicy, padła propozycja opracowania *Księgi wspomnień*. Powołano komitet redakcyjny w składzie: Sylweryusz Treugutt, Eugeniusz Gardziński, Aleksander Gajewski, Karol Gulina, Stefan Kolibabski, Kazimierz Leśniewski, Jerzy Nagrodzki, Marian Nowicki i Wacław Pawlak. Efektem prac komitetu jest maszynopis zatytułowany *Karty z dziejów byłego Seminarium Nauczycielskiego w Mogielnicy – lata dwudzieste*. W 1982 r. pozytywną opinię o pracy wydał historyk oświaty dr Stanisław Ośko, prezes Radomskiego Towarzystwa Naukowego i nauczyciel akademicki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach. Do tej pory poszczególne fragmenty tomu opublikowali Z. Szelaąg i piszący te słowa. Wśród niepublikowanych tekstów znajduje się relacja Antoniego Wielgusa, który, podobnie jak i inni wychowankowie mogielnickiej placówki, wziął udział w Kampanii Wrześniowej 1939 r., a konkretnie w obronie Warszawy. Jest to przyczynek do

¹ Stefan Treugutt urodził się w Mogielnicy.

mało znanego aspektu Września 1939 r. Mowa o Ochotniczych Batalionach Obrony Warszawy, utworzonych z inicjatywy komisarza cywilnego obrony Warszawy, Stefana Starzyńskiego. Odnotował je prof. Marian Marek Drozdowski, powołując się na list otrzymany od Romana Młynarczyka, noszący datę 1 marca 1977 r.² Z ochotników sformowano dwa bataliony, które uczestniczyły w walkach w okolicy Wilanowa i w obronie Sadyby. Wielgus, w swoim opisie, skoncentrował się na działaniach II Batalionu, stacjonującego – wraz z I Batalionem – przy ul. Gęsiej. II Batalion wziął udział w wypadzie na Wilanów urządzonym około 16-18 września. Podczas tego wypadu Wielgus został ranny, zaś wielu jego towarzyszy broni zginęło. Po pobycie m.in. w Rawie Mazowieckiej – „kolejką grójecką” – z Nowego Miasta przez Mogielnicę i Grójec – powrócił do domu rodziców w Warszawie. Z kolei Jan Chochlewicz, Stanisław Gaworski i Jan Wincewicz, koledzy Wielgusa z Seminarium w Mogielnicy, pracujący jako nauczyciele w powiecie grójeckim, ostatecznie zakończyli Kampanię Wrześniową w ... katyńskim lesie.

Odmienne w formie i treści są drugie wspomnienia. Józef Świątkowski urodził się w 1897 r. w Warszawie i tam zresztą zmarł 12 lutego 1992 r., pochowany został na Powązkach. W międzyczasie działał w harcerstwie i w ruchu niepodległościowym, osłaniał (10 listopada 1918 – 20 stycznia 1919 r.) Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego, dosłużył się stopnia podporucznika, pracował jako pedagog na wszystkich szczeblach szkolnictwa, w różnych rejonach kraju. W latach 1932-1939 dyrektorem był w Sejmikowym Gimnazjum i Liceum w Grójcu, przyczyniając się do wzrostu autorytetu placówki w miejscowym środowisku. Jako dyrektor szkoły średniej zarazem pełnił rozliczne funkcje w organizacjach propaństwowych i w samorządzie terytorialnym. Nieraz – w długim życiu – stawiał czoła przeróżnym wyzwaniom wojennym, politycznym i losowym. Uznał za stosowne, aby doświadczeniami swego życia podzielić się z rodziną, a może nawet z czytelnikami. Będąc na emeryturze, wziął się za spisywanie wspomnień. Pisząc *Mój pamiętnik* czerpał głównie z pamięci, ale także z własnego archiwum, podzielonego na działy: rodzinny, wojskowy i nauczycielski. W niektórych ustępach zaznaczał nawet, że dany fakt znajduje potwierdzenie w konkretnym dokumencie. Niestety, archiwum uległo rozproszeniu. Pozostał sam maszynopis *Mojego pamiętnika*, będący obecnie w depozycie u piszącego te słowa. Materiał ten zostanie wykorzystany do opracowania biografii dyrektora Świątkowskiego. W tym miejscu zamieszczam urywek poświęcony Wrześniowi 1939 r. Pierwsze dni wojny to jeszcze egzaminy poprawkowe w gimnazjum, wreszcie nad Grójcem pojawiły się niemieckie bombowce. 8 września dyrektor wraz ze swoją rodziną znalazł się w tłumie peregrynującym za Wisłę, gdzie miała się rozpocząć właściwa obrona przed Niemcami. Cywile i wojskowi byli nieustannie nękani przez „piratów hitlerowskich”, zapanował totalny chaos, nad którym, w jednym z epizodów wojny, podczas przeprawy przez Wisłę, próbuje zapanować człowiek, który już kiedyś zaprowadził ład i porządek w gimnazjum w Grójcu.

Antoni Wielgus: *Mój udział w obronie Warszawy*

W roku 1931 pół roku byłem nauczycielem kontraktowym w Płocku w szkole Nr 2, ul. Kościuszki 4. Tu stawałem na komisję i zostałem zabrany do wojska – Baon Podchorążych Rezerwy Piechoty (...) w Cieszynie. Po wojsku byłem nauczycielem w po-

2 Zob. M.M. Drozdowski, *Stefan Starzyński prezydent Warszawy*, Warszawa 1980, s. 208, 212, 230-231, 363, 364.

wiecie wieluńskim – Kowale koło Praszki nad Prosną (most graniczny). Wojna w 1939 r. zastała mnie na wakacjach szkolnych w Warszawie. Już w pierwszych dniach września Warszawa była obiektem nalotów lotniczych i bombardowań. Widziałem ofiary ludności cywilnej, rannych i zabitych. W ogródku, za murem kościoła św. Michała wykopałem głęboki rów, nakryłem deskami i ziemią. Zrobiłem taki niby schron dla rodziców i całymi dniami byłem na mieście. Napływ uciekinierów, rozbitego wojska bardzo duży. Krążą niesamowite opowiadania: dywersanci, panika, bałagan. Moi dwaj młodsi bracia zostali wcześniej zmobilizowani i zabrani do jednostek wojskowych. Odezwa do młodych mężczyzn³, ażeby co prędzej uchodzili za Wisłę i udawali się na wschód, nie przekonywała mnie, przeciwnie – miałem duże wątpliwości co do takiego pośpiechu.

Dnia 7 czy 8 września, na radiowe wezwanie prezydenta m.st. Warszawy Stefana Starzyńskiego, że „...potrzeba od zaraz 800 ochotników, młodych, odważnych chłopców, umiejących obchodzić się z bronią, mogą być i wojskowi, zbiórka przed pałacem Umiastowskich!” – prosto z miasta udałem się na punkt zborny⁴. Do zebranych przemawiał prezydent miasta Stefan Starzyński. Między innymi mówił, że Niemcy „gwałcą konwencję dla miast otwartych, bombardują bezbronną ludność cywilną – nie obiekty wojskowe, dlatego od teraz Warszawa będzie się broniła i będzie broniona”. Po przemówieniu ochotnicy samorzutnie uformowali kolumnę czwórkową i poprowadzono nas na ul. Gęsią (...). Tu nas podzielono na bataliony, kompanie, plutony i wyznaczono dowódców i przydzielono baraki.

Jako kapral podchorąży rezerwy zostałem dowódcą I drużyny i zastępcą dowódcy I plutonu I kompanii II-go Batalionu Obrony Narodowej. Dowódcą trzecim I-go plutonu był podporucznik Dobrowolski.

Po kilku dniach organizacyjnych przeznaczonych na umundurowanie, wyposażenie i po otrzymaniu broni złożyliśmy uroczystą przysięgę. Odbierał ją prezydent m.st. Warszawy Stefan Starzyński. Kompanie ustawiono w czworobok, prezentuj broń..., słowa przysięgi i nalot lotniczy..., świsty spadających bomb w pobliżu i my powtarzamy słowa przysięgi: „Przed wrogiem nie cofnę się ani na krok, bronili będę Ojczyzny do ostatniej kropli krwi...”.

Przemówienie swoje, prezydent zakończył słowami grożąc pięścią w stronę samolotów: „Swawola ta nie może przejść tak bezkarnie tym pludrom, jeszcze oni popamiętają”.

Pełniąc służbę na Gęsiej, dwa razy przywoziłem obiad kuchnią polową dla naszego wojska. Ale raz przeżyłem opresję... Właśnie wyjeżdżaliśmy z podwórza Magistratu⁵ na plac Teatralny, a tu nalot, świsty, huki bomb. Woźnica konie batem i klusa. Kawalek Senatorską i na zakręcie rozwalony wóz, zabite konie, dym, błyski bomb, nie widać drogi. Skracamy do najbliższej bramy, czekamy. W pewnej chwili mój żołnierz spojrzął na mnie i z uśmiechem powiedział: „To nie są żarty...”. Odczekaliśmy trochę, ustał nalot i my ruszyliśmy z obiadem w dalszą drogę. Jechaliśmy po szkłe wystawowym, omijaliśmy zwały gruzu, zabite konie, gromady ludzi. Obiad na Gęsią dowiozłem. Dwa, czy trzy dni po przysiędze I Batalion wyruszył do akcji. (Jedni mówili, że za Wisłę, inni, że w stronę Włoch). II Batalion pozostawał na Gęsiej. Brał czynny

3 Mowa o apelu radiowym, wygłoszonym w nocy z 6 na 7 IX przez pułkownika Romana Umiastowskiego.

4 Błąd w maszynopisie. M.M. Drozdowski podaje, że werbunek rozpoczął się 12 IX na placu przed Pałacem Mostowskich. Spośród kilku tysięcy ochotników wybrano 800 osób, do których dokooptowano 400 żołnierzy Robotniczej Brygady Obrony Warszawy tworząc dwa Ochotnicze Bataliony Obrony Warszawy.

5 Ratusz (pałac Jabłonowskich) znajdował się przy Placu Teatralnym. Stąd we wrześniu 1939 cywilną obroną Warszawy dowodził Stefan Starzyński.

udział w gaszeniu pożarów po nalotach, ratował dobytek okolicznym Żydom. Jednego dnia, w czasie wydawania obiadu naszym żołnierzom pocisk artyleryjski uderzył w barak. Mieliśmy pierwszego zabitego odłamkiem. W oddziałach zapanowało zniechęcenie, dało się słyszeć narzekania: „Dokąd tu nas będą trzymać?”

Dnia 17 września⁶. II Batalion otrzymał ostrą amunicję (po 15-20 szt. i 3 granaty) i wieczorem wyszliśmy na wypad przeciwko Niemcom. Trasa prowadziła ulicami: Kredytową (paliło się wewnątrz i dach zboru ewangelickiego), Mazowiecką, Warecką, Nowym Światem, Książęcą, Czerniakowską. Przy Podchorążych (klasztor Nazaretanek) zarządzono postój. Zwołani dowódcy oddziałów odeszli na odprawę. Ja dostałem rozkaz pozostać i mieć baczenie nad żołnierzami. Po pewnym czasie przyjechał samochód, wrócili z odprawy dowódcy, uzupełniono nam ekwipunek żywnościowy (konserwy, papierosy, suchary) i dalej w kolumnie ul. Czerniakowską doszliśmy do Sadyby. Tu na forcie była placówka wojska polskiego. Zatrzymaliśmy się na moście. Wystany przez placówkę patrol powrócił. Dowództwo nasze zostało zorientowane o nieprzyjacielu.

Była północ. Na czele stanął I pluton i dalej szliśmy w stronę Wilanowa, ubezpieczeni krótko od czoła szpicą (2 żołnierzy). Wzdłuż jednego boku drogi szły tor tramwajowy i tor kolejki, a po obu stronach rowy. W marszu przyjęliśmy szyk dwójkowy, z karabinami w rękach. Skończyły się domki, widać było blisko zabudowania stacyjne, gdy z lewej padł strzał i rakietą jedna, druga, potem następne od przodu. Zauważyli nas Niemcy. Komenda: padliśmy do lewego rowu. Leżałem tuż za podporucznikiem Dobrowolskim. Niemcy otworzyli ogień maszynowy i bez przerwy oświetlali teren raketami. Sytuacja rozwijała się szybko i groźnie. „Panie poruczniku, do przodu, do przodu – bo nas w tym rowie wybiją, do przodu”... – podpowiadałem. Czas się wydłużał, porucznik rozglądał się i nic. W pewnym momencie zawołałem: „Pierwsza drużyna, kierunek cmentarz! Skokami, po dwóch, trzech, za mną!” I skoczyłem pierwszy. Przeskakując obsunąłem się do rowu. Następnie wykorzystując momenty gasnących rakiet dobiegłem do bruzdy na „oranisku”. Zobaczyłem, że paru kolegów skoczyło za mną. Zrobiłem jeszcze skok po bruzdzie. Była potem komenda: „Otwórz ogień! Rzuć granaty!” Strzelałem w stronę błysków ognia i wylatujących rakiet. Odpiąłem plecak, biegnąc rzucałem go przed sobą i padałem za nim. Przeszkadzał mi. Podczas krótkiego i nieśmiałego z naszej strony „hurra!” podbiegłem i padłem tuż przed pętlą tramwajową. Dniało. Bruzda była bliżej pętli. Niemcy przeskakiwali od drzewa do drzewa w stronę muru cmentarnego. Rzuciłem dwa granaty, padłem w bruzdzie i wtedy zakręciło mną. Upadłem, zrobiło mi się ciepło po brzuchu i zemdlałem. Jak długo tak leżałem, nie wiem. Obudziły mnie pokrzykiwania i śmiechy Niemców przechodzących tyralierą pobojuwisko. Przechodzili tuż, tuż. Spod hełmu zobaczyłem dwóch, uniosłem głowę i wtedy krzyk z tyłu: „Halt, halt, Granaten (...)!” Przyskoczyli z bagnietami do głowy i krzyczeli: „Granaten (...)!” Z nosem na ziemi zaprzeczałem, machając ręką, i ledwie mówiłem: „Keine, keine Granaten”. Wtedy trzeci z tyłu bagnietem na karabinie podniósł postrzelaną na mnie torbę przyboczną, powiedział: „O, kaputt” – i poszli na pobojuwisko. Odchodzącego trzeciego prosiłem, zdeterminowany: „Zu Hilfe!”. Ten zatrzymał się, wyciągnął chlebak, na którym leżałem, wytrząsnął jego zawartość przed moim nosem. Wyleciały suchary, chusteczka, papierosy i buteleczka kolońskiej wody. Zapalił mi papierosa i podał do ust, więcej zainteresował się buteleczką i powoli odszedł za innymi. Dolatywały potem okrzyki zachwyty i zado-

6 M.M. Drozdowski podaje, że II Batalion Obrony Warszawy wymaszerował z koszar kierując się do Wilanowa 16/17 IX.

wolenia: „O, Offizier, o, Unteroffizier!” Następnie Niemcy wrócili na swoje stanowiska. Ja drętwiałem i sztywniałem w bruździe. Lewa noga była niewładna. Każda próba poruszenia się powodowała uczucie rozchodzenia się ciepła po brzuchu. Przelatujące kruki, kołując nad pobojowiskiem obniżały lot, jakby badały obecność padliny. Przypomniałem [sobie] wizję Żeromskiego *Rozdziobią nas kruki, wrony...* Po jakimś czasie obok mnie przechodził polski patrol sanitarny z czerwonymi opaskami. Jeden żołnierz i dwie panie niosły na noszach rannego. Przywołałem sanitariusza i prosiłem, żeby mnie zabrali. Obiecał, że za drugim razem. Po odejściu patrolu Niemcy strzelali do rannych jakby dla igraszki. Następnym razem patrol sanitarny zabrał także innego rannego. Przywołałem sanitariusza, opowiedziałem, że Niemcy strzelają do rannych po odejściu patrolu, prosiłem, żeby mnie zabrali, albo [żeby] został przy mnie, bo nie doczekam żywy. Sanitariusz podźwignął mnie, upuścił, zostawił i przestraszony odszedł, dołączył do niosących rannego.

Leżałem drętwy w bruździe. Dobrze po południu przyjechał na pętłę wóz konny, zawieziono mnie do pałacu, od podwórza, złożono w bocznej oficynie na sienniku. Tu mnie trochę obmyto, dano coś do picia. Udzielały się tu dwie młode panie. W pewnej chwili zakomunikowano, że niedługo przyjedzie lekarz niemiecki na oględziny, ale nie może tu nikogo zabraknąć, bo domownicy ręczyli swoimi głowami. Przeraziła mnie ta zapowiedź. W prawej kieszeni spodni miałem swój mały rewolwer „Mauzer 6”. Przywołałem przechodzącą młodzianką panią, powiedziałem o rewolwerze i prosiłem, żeby „to” jakoś ulotniła. Pani ta najpierw odeszła, jakby się przeraziła. Po chwili wróciła i zabrała mojego „Mauzera 6”. Przyszedł potem lekarz, raz, raz obciął lewą nogawkę spodni, obejrzał ranę (...) Wieczorem Niemcy w pośpiechu wywozili swoich rannych. Załadowali mnie do karetki i wywieźli. Gdzie, nie wiedziałem i nie wiem. Prosto z karetki znalazłem się na stole operacyjnym. Po operacji złożyli mnie do środka kościoła na słomie, obok kilku leżących Polaków. Doglądał nas stary, poczciwy Niemiec. Ukradkiem przynosił wodę, mówił, że utleniona, bo studnie są zatrute. Po kilku dniach leżenia w kościele odbyła się inspekcja świty oficerskiej. Pytano nas, jak się czujemy, jakie są nasze życzenia. Byliśmy zdziwieni tym, przecież byliśmy w niewoli. Jeden ze starszych obiecał, że jak tylko będzie miał wolniejszy transport, przewożą nas do polskiego szpitala w Rawie Mazowieckiej. Iskra otuchy. Po trzech czy czterech dniach przewieziono mnie do Rawy Mazowieckiej. Z karetki zniesiono do dużego, brezentowego hangaru, na słomę. Ale chciał traf: tu spotkałem rannego, młodszego brata, Wincentego. Było nam rażniej. Nocą tuliliśmy się do siebie, mieliśmy do okrycia dwa płaszcze, bo zimno było; wyłazili[śmy] ogrzać się na słońko. Byliśmy na wyżywieniu okolicznych wiosek i majątków. Chłopi przywozili chleb, zupę w kotłach. Kto miał jakie naczynie czy pudełko, ten dostał porcję zupy, kto nie miał, był głodny. Oględzin lekarskich żadnych. Jednemu z rannych załęgły się robaki w boku. Przez przyjeżdżających z żywnością rozsyłaliśmy karteczki do Nowego Miasta, do Domaniewic o naszym pobycie w szpitalu. Wiadomość dotarła do Warszawy. Przez ten czas omawialiśmy sprawę z pewną panią doktor (o ile nie przekręcą p. Makowiecka, chodziła w długim płaszczu wojskowym, szukała zabranego do wojska męża), która miała nas przeprowadzić za bramę, gdzie stał wartownik, pod pretekstem dokonania opatrunku, a dalej damy sobie radę. Aż tu przyjechała moja mama konnym wozem ze strykiem. Brat mój w roli furmana zdążył w tym czasie już wyjechać. Ze mną było trudniej. „Radom, Radom” – odpowiadano. Staliśmy na korytarzu. Matka wisiła mi na szyi, płakała i lamentowała. Przechodzący korytarzem Niemiec zainteresował się nami, pytał: „Co matka płakać?” Matka starała się tłumaczyć. Pokazywała raz trzy palce, wskazując na

mnie, potem dwa palce i rozkładała ręce, wreszcie jeden palec i zaniósła się płaczem. „Matka gut, gut matka, Moment...” – powiedział Niemiec i wszedł do kancelarii. Po chwili wyszedł i wręczył zwolnienie od zaraz. Podziękowaliśmy, matka rękami, ja ukłonem. Zwolnienie napisane było gotykiem. Wyjechaliśmy z miasta przed godziną policyjną. W nocy, po drodze – przed zagajnikami, dwa razy zatrzymywali nas Niemcy. Pokazaliśmy zwolnienie i wolna droga. Nad ranem przyjechaliśmy do Domaniewic nad Pilicą. W ciągu dnia dotoczył do nas i mój brat Wincenty. Dwa dni odpoczynku, potem wozem do Nowego Miasta [nad Pilicą] i kolejką do Warszawy. Nie zgłaszałem się u żadnych władz niemieckich. Rana się zagoiła, ale sprawiała mi pewne momenty żenujące. Nie występowałem więc i nie korzystałem dotąd z żadnych świadczeń ulgowych. Cieszyłem się, że mogłem pracować.

Rzadko to się zdarzało, ale pytany: „Ilu was wtedy zginęło?” – odpowiadałem, że dużo, ale ilu, tego nie wiedziałem.

Dopiero ostatnio, zmuszony szukać świadków do wniosku o rentę, miałem w rękę dwie listy poległych ochotników, biorących udział w naszym wypadku na Wilanów. Czytałem i przypominałem [sobie] 62 nazwiska i listę 27 bezimiennych, którzy w obawie przed zemstą Niemców na ich rodzinach poniszczyli wszelkie dane rozpoznawcze zaraz przed wymarszem. I tak 89 ochotników im. Stefana Starzyńskiego poległych w wypadku 17 września 1939 r., i wśród nich Dobrowolski, ppor. Włodarczyk, leżą zaraz za główną bramą wejściową na cmentarzu w Wilanowie⁷. Cześć ich pamięci!

Józef Świątkowski: fragment z *Mojego pamiętnika*

Podczas tego bombardowania miasta⁸, udało mi się połączyć telefonicznie z p. Morawskim⁹, prezesem Pow[iatowej] Komisji Oświaty, w której pełniłem funkcję zastępcy prezesa. Prosiłem, czy na skutek bombardowania miasta, nie mógłbym skorzystać z gościny, wraz z rodziną, na jednym z folwarków. Prezes Morawski zięć księcia Zdzisława Lubomirskiego, bardzo chętnie przyjął moją prośbę, wyznaczając nam miejsce w folwarku, przy drodze do Mogielnicy, w Starej Wsi¹⁰. Jednocześnie prezes Morawski zaofiarował mi odpowiednią furmankę. Tuż przed odjazdem naszym do Starej Wsi, zawitał do nas p. Andrzej Kula, dzierżawca majątku, stanowiącego zapis ks. P. Skargi na rzecz grójeckiego szpitala, pod nazwą „Sadków”¹¹. Ponieważ Sadków znajduje się

7 Na cmentarzu w Wilanowie pochowani są m.in. – wspomniani przez Wielgusa – podporucznicy rezerwy Henryk Tadeusz Dobrowolski (rocznik 1913) i Mieczysław Włodarczyk (rocznik 1910). Według M.M. Drozdowskiego, pod Wilanowem zginął także Szerzeniewski. II Batalion wziął również udział w bitwie pod Augustówką, gdzie wraz ze swoją drużyną zginął kapral Noiszewski, w ostatnich walkach poległ kapitan Zbijewski i porucznik Gutowski przy ul. Powsińskiej.

8 Mowa o nalocie niemieckich bombowców na Grójec w dniu 6 IX.

9 Tadeusz Morawski (1893-1975), Wielkopolek, uczestnik Powstania Wielkopolskiego, w 1922 ożenił się z Julią Lubomirską, córką księcia Zdzisława Lubomirskiego, dziedzica dóbr Mała Wieś pod Grójcem, poseł na Sejm, działacz samorządowy, społecznik na niwie mleczarstwa, przewodniczący m.in. Rady Szkolnej Powiatowej i Towarzystwa Popierania Budowy Szkół, podczas II wojny światowej udzielił w Małej Wsi schronienia wielu osobom, po wojnie mieszkał i pracował w Warszawie, gdzie zmarł.

10 Stara Wieś, wieś w gminie Belsk Duży, dawniej wchodząca w skład dóbr Mała Wieś.

11 Królewski kaznodzieja Piotr Skarga (1536-1612), rodem z Grójca, przed śmiercią uczynił zapis na rzecz szpitala, czyli przytułku w Grójcu. Realizujący jego ostatnią wolę podkomorzy królewski Andrzej Boboła zakupił dwie wsie pod Grójcem – Sadków i Wołę Sadkowską, mające stanowić materialną podstawę funkcjonowania fundacji na rzecz ubogich w Grójcu. W międzywojniu pieczę nad Fundacją Dobroczyzną Ks. Piotra Skargi dla Ubogich w Grójcu sprawowało Kuratorium. Dobra należące do fundacji, folwarki Sadków Duchowny i Książek w gminie Belsk Duży, zostały na początku 1939, na podstawie licytacji, wypuszczone w dzierżawę Edwardowi Rembowskiemu. Świątkowski podaje, że współdzierżawcą folwarków był Andrzej Kula (fakt dotychczas niezany).

w pobliżu Starej Wsi, przeto zabrał się z nami, by pojechać do swej posiadłości, jak to się mówi, „na opiece Bożej”. (...) Straszny był to widok, tej naszej jazdy w kierunku z Grójca na Mogielnicę, a więc ze wschodu na zachód. Natomiast z zachodu na wschód ciągnęły całe tabuny ludzkie, niejednokrotnie ze swoim dobytkiem. Szosa była dosłownie zawałona tymi uciekinierami, a my musieliśmy się przedzierać, właśnie w kierunku przeciwnym. Nierzadko słyszeliśmy głosy, że jesteśmy „partyzantami hitlerowskimi”, bo jedziemy raczej na spotkanie Niemców. Po dwóch godzinach takiej jazdy, furmanką, dobrze wymoszczoną, dotarliśmy na miejsce do Starej Wsi. Jakież było nasze zdziwienie, gdy p. A. Kula zaproponował nam gościnę u siebie w Sadkowie. Z miejsca się zorientowałem, że folwark Stara Wieś, a raczej jego główny budynek, w którym mieliśmy zamieszkać, znajdował się tuż przy szosie Grójec – Mogielnica – Nowe Miasto, a więc niewątpliwie przy jednym ze szlaków, posuwania się bandy hitlerowskiej. Natomiast Sadków był oddalony od wszelkich szlaków szosowych ca 4-5 km, więc nie musiałem się długo namyślać, tylko z wielką radością przyjąłem gościnę u p. Kulów. Tym bardziej, że w tym czasie przebywał u nas na rekonwalescencji Ojciec mój, Edward, po operacji chirurgicznej. Tak więc wkrótce znaleźliśmy się w Sadkowie.

Po przyjeździe do Sadkowa, nazajutrz, a dzień był bardzo piękny, zresztą jak w ogóle cały wrzesień 1939 r., zaczęliśmy się jako tako urządzać na przymusowym „wygnaniu”. Gdy tak z p. A. Kulą rozmawiamy, komentując wydarzenia wojenne i obserwując, jak nadal piraci hitlerowscy znęcają się nad Grójcem, zobaczyliśmy, że na rowerze zbliża się ku nam pan Zarzycki (imienia już nie pamiętam¹²), właściciel restauracji w Rynku, a na odcinku społecznym, sekretarz Pow[iatowego] Zw[iązku] Of[icerów] Rezerwy, którego byłem prezesem. Do dnia dzisiejszego pozostaje to dla mnie tajemnicą, skąd p. Zarzycki dowiedział się o moim miejscu pobytu w Sadkowie. Po przybyciu do Sadkowa p. Zarzycki z miejsca mi oświadcza, że otrzymaliśmy rozkaz, by natychmiast meldować się w Garwolinie (...). Przy tym p. Zarzycki dodał: „Na drugim brzegu Wisły jest przygotowana wspaniała obrona linii Wisły i w związku z tym mamy się natychmiast w Garwolinie meldować”. Co było robić, musiałem być posłuszny poleceniom odgórnych władz wojskowych, a gdy to zakomunikowałem Ance¹³, ta „uczepiła się” u mojej ręki z jednej strony, z drugiej strony Barbara i Tere¹⁴. Co prawda przekonywałem, by się zostały na miejscu, tym bardziej, że i Ojciec potrzebował opieki. Nie było mowy, Ojca poleciliśmy opiece Matki p. Andrzeja, a ponieważ do wyjazdu zgłosili się p. Andrzej i Irena Kulowie wraz z synkiem Leszkiem, oraz współdzierżawcy, p. Rembowscy z paromiesięcznym dzieckiem, więc postanowiliśmy [jechać] trzema furmankami, po jednej na każdą rodzinę. No cóż, widocznie tak było sądzone, że i ja mam pełnić na swoim wozie funkcję furmana. Tak więc po południu w dniu 8 września 1939 r.¹⁵ wyruszyliśmy i my na szlak uciekinierów z zachodu na wschód. Już pod samym Grójcem, a raczej na jego przedmieściu, na skutek bombardowania i ostrzeliwania uchodźców przez samoloty hitlerowskie, zmuszeni byliśmy

12 Zapewne idzie o Aleksandra Zarzyckiego; podczas okupacji w jego restauracji w Grójcu znajdował się punkt kontaktowy ZWZ-AK.

13 Mowa o żonie, Annie z Dobrzańskich (1900-1980), poślubionej 23 III 1922.

14 Barbara (1925-1994), za mężem Dobrzańska oraz Teresa (ur. 1929), za mężem Kamel – to córki autora wspomnień.

15 W literaturze przedmiotu podaje się, że Grójec został zajęty przez niemiecką 1. Zmotoryzowaną Dywizję Pancerną 8 IX o godzinie 10.00. W dowództwie obrony Warszawy o tym fakcie wiadano już ok. godziny 11.00, oczywiście tego samego dnia. Zob. L. Głowacki, *Obrona Warszawy i Modlina na tle kampanii wrześniowej 1939*, Warszawa 1985, s. 69.

opuszczać furmanki i kryć się pod stogami ze zbożem, tuż pod miastem, od strony cmentarzy. Pomimo że kule ze świstem przelatwały obok nas, na szczęście nikt nie odniósł szkody. Po oddaleniu się piratów, z powrotem wróciliśmy do furmanek i już późnym wieczorem 8 września 1939 r. opuściliśmy Grójec, udając się w stronę Warki. Po drodze, już niemal o północy, zawitaliśmy do jakiegoś majątku, dalszych krewnych p. Rembowski i stąd – po skromnej kolacji i noclegu – nazajutrz wyruszyliśmy w dalszą drogę. We wczesnych godzinach przekroczyliśmy Pilicę i wzięliśmy kierunek na Osiemborów i Magnuszew. Ponieważ niemieccy piraci przez cały dzień ostrzeliwali uchodźców, przeto musieliśmy się kryć, po przydrożnych zalesieniach. Udało się nam dotrzeć tego dnia pod wieczór (...) do Przewozu¹⁶, ok. 3 km od Magnuszewa, do przewozu na Wiśle promem. I tutaj na drodze trzeba było się kryć, przed piratami hitlerowskimi, więc zsiadaliśmy z furmanek, by się skryć w przydrożnych zadrzewieniach. W ten sposób dojechaliśmy do przewozu na Wiśle. Oczom moim przedstawiał się bardzo smutny widok, bo oto, na przewozie ześrodkowało się z przeladowanymi furmankami setki uciekinierów, a na domiar tego jeszcze „zważyło się” i wojsko nasze. Scena nie wesoła, gdyż cywile, jak widzę, staczają „bój” z wojskiem o dostęp do promu i łodzi. Jednym słowem, delikatnie mówiąc, generalny bałagan. W tej sytuacji zsiadam z wozu i, energicznym ruchem, posuwam się do zwalczających się stron. Nie wiem z jakiego tytułu, na mój widok, kierując się ku mnie, krzyczą na całe gardło: „Pan Komisarz! Pan Komisarz przyjechał, by zrobić porządek!”. Nie namyślając się wcale, (...) potwierdziłem słownie tę „nominację” i zażądałem, by najstarszy rangą wojskowy natychmiast meldował się u mnie. Rzeczywiście, niezadługo, podlatuje do mnie jakiś chorąży i melduje mi się, jako najstarszy rangą wojskowy na przewozie. Wydaję wtedy krótki, ale doniosły rozkaz: „Panie chorąży, wojsko obejmie do swego przewozu prom, zaś cywile łódki”. A trzeba przyznać, że łódek tych było tutaj na przewozie dość sporo. Następnie cywilom oznajmiam, że ustawiają się w kolejce, najsamprzód kobiety ciężarne i z małymi dziećmi, następnie starsze niewiasty z dziećmi do lat 15-tu, następnie młodzież do lat 18-stu, a na końcu mężczyźni, oraz oświadczam, że zostaję na miejscu do końca akcji i ostatnią łodzią przeprowadzę się przez Wisłę. W ten sposób zapanował i spokój i porządek. Muszę przyznać, że wszystko odbyło się sprawnie i bez najmniejszej mojej interwencji. Ok. godz. 23-ej przeprowadziłem się z ostatnimi mężczyznami (6-8 ludzi). W umówionym miejscu, tj. w mieszkaniu przewoźnika Cytryniaka na przewozie w Tarnowie¹⁷, odnalazłem swoich najbliższych. P. A. Kula miał się zająć naszymi furmankami i, poniżej naszego przewozu, miał się przeprowadzić z 3-ma furmanami. Niestety, nie udało to się. Musiał pozostawić furmanki i nasz najcenniejszy dobytek we wsi na przewozie, bodaj u p. Marchewki czy Pietruszki. P. Rembowski zdecydował, że niedaleko stąd też ma krewnych, właścicieli majątku. Późną nocą dobrnęliśmy do owego majątku, gdzie na słomie, przykrytej prześcieradłami, przenocowaliśmy do następnego dnia. Idąc ku temu noclegowi, byliśmy świadkami, wśród ciemnej nocy, w odległości ok. 1 km, jak płonął las. Było to niezapomniane i niesamowite widowisko. Nazajutrz zjedliśmy śniadanie i cały niemal dzień przebywaliśmy w pobliskim lesie, ze względu na piratów niemieckich. Będąc w lesie, natknęliśmy się na w wysokim stopniu podejrzaną bandę

16 Przewóz Tarnowski, wieś leżąca na lewym brzegu Wisły, w gminie Magnuszew w powiecie kozienickim. Podobno już w średniowieczu istniał tu przewóz przez Wisłę z leżącego na przeciwległym brzegu Tarnowa (stąd nazwa).

17 Tarnów, wieś leżąca na prawym brzegu Wisły, w gminie Wilga w powiecie garwolińskim.

ludzi młodych z gitarami i mandolinami. Po pewnym czasie Basia odnalazła płytko zagrzebane spadochrony. Mieliśmy wrażenie, że były to spadochrony owej bandy ludzi młodych, spotkanych przed godziną (tzw. V-ta kolumna hitlerowska). Wreszcie po wypoczynku dobowym w owym majątku, gdzie dość gościnnie przyjmowano nas, dobrnęliśmy pod Garwolin do Górzna¹⁸. Tutaj niemal zaraz nawiązałem kontakt z ks. proboszczem i w ten sposób – przy pomocy radia na probostwie – miałem kontakt ze światem.

(...) Gdy [17 września] bardzo rano przybyłem do proboszcza, zostałem poinformowany, że dzisiaj o godz. 5-tej rano naszą granicę wschodnią przekroczyła Armia Czerwona. (...) Gdy tę wiadomość otrzymałem, rozumiałem wiele rzeczy. Z tą chwilą, gdy ze wszystkich stron dookoła Polska została najechnana przez współczesnych zaborców, było jasnym, że przynajmniej na razie nie ma najmniejszej nadziei na uratowanie Polski. W tej sytuacji postanowiłem natychmiast wracać do Grójca, oczywiście tą samą drogą. Gdy wróciłem na miejsce pobytu moich najbliższych i p. Kulów, poinformowałem ich o przekroczeniu przez Armię Czerwoną naszej granicy wschodniej, oraz o moim postanowieniu natychmiastowego powrotu do Grójca. Jeszcze było nieco prekomarzań zwłaszcza z A. Kulą, który w ogóle nie chciał słyszeć o powrocie do Grójca, gdyż koniecznie mamy udać się w kierunku Brześcia, bo tam oczekuje m.in. i na nas gen. M., który wypłaci nam 6-ciomiesięczne pobory... Ale ja w bardzo krótki sposób dyskusję przeciąłem, oświadczając, że p. A. Kula dysponuje swoją rodziną i może robić wg własnego upodobania. Ja natomiast zabieram swoich najbliższych i udaję się do Grójca z powrotem. Po krótkim czasie i. p. A. Kula zgłasza swój akces do powrotu do Grójca.

Jeszcze trochę sporu, którą drogą mamy wracać, gdyż p. A. Kula koniecznie proponował powrót inną trasą, a mianowicie na Osieck¹⁹. I w tym wypadku moja racja zwyciężyła, gdy oświadczyłem, że przecież wszystko zostawiliśmy na przewozie przez Wisłę, więc musimy tam wracać, bo może jeszcze coś da się uratować. Tym bardziej, że zostawiliśmy tam na furmankach najcenniejszy swój dobytek wraz z pościelą i zapasowym przyodziewkiem. Po przenocowaniu w tym samym majątku, w którym nocowaliśmy, zdążając do Górzna, w bardzo rannych godzinach, znaleźliśmy się po drugiej stronie Wisły (na przewozie pod wsią Tarnów). Ponieważ pan A. Kula pozostawił furmanki w wiadomym miejscu, u gospodarza p. Marchewki (a może Pietruszki), więc skierowaliśmy swoje kroki, ku tej zagrodzie. Jakież było moje zdziwienie, gdy gospodarze oświadczyli nam, że oni nie pamiętają, by tu u nich coś się znajdowało. No, to ja, na takie dictum, zabrałem p. Andrzeja i wyszliśmy na podwórze. Mówię do p. A. Kuli: „Idziemy do stodoły robić tam poszukiwanie”. Gdy znaleźliśmy się w stodole, dość obszernej, wskazując na jeden z sąsiadów, odzywam się: „Tutaj będziemy szukali”. To mówiąc przełażę przez przegrodę i za moment znajduję się w sąsiadku. To samo czyni i p. A. Kula. Od razu z miejsca zdążam do naroża sąsiadka i tu, „o dziwo”, po odrzuceniu dwóch snopków, oczom moim przedstawia się cały pakiet naszej pościeli wraz z kołdrami i poduszkami. Oczywiście, zaraz to wyrzuciłem na klepisko. Po paru minutach odnajdujemy pościel p. Kulów. Po drugiej stronie stodoły znajdujemy swoją odzież. Wszystko to załadowaliśmy na naszą furmankę stojącą opodal stodoły i wracamy do budynku mieszkalnego, w którym pozostawiliśmy swoje rodziny. Wobec takich rezultatów rewizji, nic nie mówiąc, sam otwieram szuflady komody, stojącej w pokoju

¹⁸ Górzno, wieś na południowy wschód od Garwolina, siedziba urzędu gminy i parafii.

¹⁹ Osieck, wieś położona 15 kilometrów na północny-zachód od Garwolina.

i... znajduję swoje złote spinki od mankietów, a dalej, inne wartościowe przedmioty, pochodzenia naszego. Jeszcze w krótkich słowach zwracam się do gospodyni: „Proszę, idziemy do piwnicy na podwórzu”. Tu pod garnkami z mlekiem odnajduję swoje dokumenty, m.in. i oryginał dyplomu nauczycielskiego. (...) Nie wszystko zostało odnalezione, ale i to, co się udało znaleźć, miało wielką wagę dla nas. Wtedy zwraca się p. Kula do gospodarza, pytając: „A gdzie są konie?” Początkowo p. Marchewka (Pietruszka) nie bardzo się przyznawał, co dzieje się z końmi, ale przyparty do muru, wreszcie, raczył się odezwać: „A idźcie na łąkę za stodołą i wybierzcie stamtąd swoje konie”. I rzeczywiście, po jakiejś godzinie, powrócił p. Andrzej z bardzo ładnymi końmi, ale to nie były nasze konie. Następnie dowiedziałem się od pana Andrzeja, że na łące za stodołą pasie się chyba ze sto koni. Oczywiście wszystko pozostawione przez uciekinierów.

Jeszcze tego samego dnia wczesnym wieczorem dojechaliśmy do Warki. Na wstępie do miasta, ogłoszenia po polsku i po niemiecku, że należy przy zgłoszeniu się oddawać wszelką posiadaną broń. Rzeczywiście, zabrałem wychodząc z Grójca, swój osobisty, niewielki, ale gustowny, bębnowy rewolwer. Następnie, ponieważ teren już znajdował się w gestii niemieckiej, zgłosiłem się do Magistratu w Warce, by zgłosić swój powrót do Grójca. Przy tej okazji, zgodnie z ogłoszeniem, kładę przed oficerem niemieckim swój rewolwer. Dziwnego doznałem uczucia, gdy oficer niemiecki zwraca mi ten rewolwer ze słowami: „Niech Pan go zabierze ze sobą, bo może jeszcze w drodze się przydać, a w Grójcu zwróci go Pan władzy niemieckiej”. Po zgłoszeniu u Niemców swego powrotu do Grójca, zaraz odjechaliśmy w dalszą drogę. Nie udało się jeszcze tego samego dnia dojechać do Grójca i przenocowaliśmy u jakiegoś gospodarza pod Jasińcem. Następnego dnia ok. godz. 9-tej byliśmy już z powrotem w Grójcu. Był to dzień 22 września 1939 r.



I Zjazd Byłych Wychowanków Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Mogielnicy w 1930 r.



Józef Świątkowski, autor wspomnienia, z rodziną